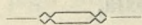


OPISY I NOTATKI.



O ludowej muzyce i jej kapłanach.

Jest rzeczą stwierdzoną, że poezya wśród ludu kwitnie w całej pełni, a poezya o wiele różna od naszej, cywilizowanej, częstokroć przeczulonej aż do pewnej chorobliwości. Lud nasz ogromnie jest wrażliwy na piękno przyrody, która go otacza, wśród której wije cierniowy wieniec swego żywota. On się z nią zróśł, on z nią spoił swą prostą duszę, stopił w jeden metal i z metalu tego wydobywa dźwięki pełne piękna, harmonizujące z najwznioślejszymi polotami.

Ci, co się muzyce lub pieśni ludowej przysłuchują z pewnem uprzedzeniem, że prosty chłop nie może przecie, jako na niskim poziomie kultury stojący, odczuć i objąć duszą niezliczonej ilości tonów i ich misternych barw — ci piękna w tej muzyce nie dostrzegają. Ale tony te są; one drgają przedziwnie pięknie, chociaż szata ich skromna. Dla mnie ta nuta ludowa, która mię wykołysała, mieć będzie zawsze więcej uroku, niż pierwszorzędne arcydzieła kompozytorskie.

Ile uczucia i rzewności mieści się w obrzędowych pieśniach weselnych, ile tęsknoty w pastuszem kwileniu na ugorze, ile bólu w trenach pogrzebowych, ile wreszcie ognia i siły w dziańskiej, młodzieńczej pieśni!

Obawiam się, żebym nie był źle zrozumianym i dlatego nadmieniam, że muzyki ludowej nie pojmuję inaczej, jak tylko w zespole z przyrodą. Jakże przedziwne wtedy brzmią jej akordy!

Jest np. pogodny, śliczny ranek maja.

Dziewczyna w lasku krowy pasie i śpiewa, o lepsze z słowikiem walcząc. Kędyś w dali wtóruje jej fujarka pastusza, a dzwonów granie, co po rosie drżącemi falami płynie, dopełnia akordów.

Albo: głęboka noc listopadowa. Cichy wiatr igra zeschłymi liśćmi po ogrodach, a z chaty płynie rzewna melodya weselna:

Jest w lesie sosna
Trzy lata rosła,
Ucz się Hanuś pracować —
Jeszcze cię nie wziął
Jasieńko miły,
A już cię chce — katować.

Jeszcze echo tej pieśni nie zamilkło w oddali, a z chaty wrywa się nowa, gromka i dziarska:

Myślałaś Hanusiu,
Żeś dostała pana,
Dostałaś Jasieńka
Wielgiego cygana.

Krakowiaki, oberki, mazury, kujawiaki, kołomyjki przeplatają się nawzajem, tworząc wzorzysty kobierzec melodyi, jak ugor, obfitujący w dzikie maki, bławaty i inne ziela.

Zebrać te wszystkie nuty i melodye — na wzór Kolberga, księga byłaby olbrzymia, a ktoby się pracy tej podjął, miałby wielką zasługę. Ludowa pieśń — to krynica, z której płyną jasne, kryształne zdroje, opalizujące wszystkimi barwami tęczy.

Ludowa nuta wciąż się tworzy, uzupełnia, wydoskonala, a znamienem jest to, że gdzie dosięgła fala cywilizacji, tam jej poezya straciła swój pierwotny urok, a stała się... podobną do szynkowych koncertów.

We wsi K., położonej w pięknym, podkarpackim ustroniu, istnieją dwa rody „grajków“, od bardzo dawnych czasów. Oglądałem „basy“, w niemiłosierny sposób poklejone i poklamrowane tak, że w niektórych miejscach są one całkiem drutem pokryte. Jest to spuścizna po pradziadku Bębasie. Sam on so-

bie ten instrument z wierzby wystrugał, sam z baranich jelit struny pokręcił i „basował“ z bratem, który był skrzypkiem i również sam sobie instrument zmajstrował. A było to ongiś, jeszcze na początku XVIII wieku.

Bracia Bębasi grywali na weselach nie tylko w swojej wsi, ale i w okolicznych. Że jednak wesela trwały czasem przez cały tydzień, jedna „banda“ nie wystarczała. Skrzypek Bębas wziął na naukę chłopaka od sąsiada Syburi i po kilku latach nauczył go rzempolić. Żałował później tego, choć zapłacono mu sownie: 5 korców żyta, 2 jęczmienia, prosiaka i przez czas terminowania t. j. przez cały rok udoj mleka dziennie. Uczeń po kilku latach prześcignął mistrza, stał się jego niebezpiecznym konkurentem.

Od tego czasu oba rody przekazywały fach i instrumenty swoim potomkom, prześcigając się ciągle i walcząc ze sobą o klientelę w ten sposób, że wynajdywali nowe melodie, komponowali i wzajemnie się przy tem z kompozycyji tych — okradali. A zawsze było tak, że w jednym i drugim rodzie był „muzyka“ t. j. skrzypek i „basista“. Około r. 1840 Paweł Sybura, uchodzący za pierwszorzędnego „muzykę“ w całej okolicy przeraził się okrutnie, odkrywwszy niepospolity talent w małym Michałku Bębasie, który już w 10 roku życia odważył się pójść z ojcem jako „basistym“ na 4-dniowe wesele. W kilka lat później Michałek tak się wybił, że Pawła Syburę, jak to pospolicie rzecz można, ludzie puścili w trąbę. Wtedy doprowadzony do ostateczności Sybura rozpił się, skrzypki połupał, trzaski rzucił w piec, i oddał się — kradzieży koni i bydła. Z początku wiodło mu się nowe przedsięwzięcie, ale za jaki może rok złapali go na kradzieży, uwiązali u „dragarza“ w chałupie głową na dół i bili i „dzwonili“ nim, jak do dziś jeszcze w kłótni wypominają to ludzie potomkom Syburi, aż wreszcie artystyczna dusza wyszła z ciała i na niej na pewien czas zamilkł talent w rodzie Syburów.

Ku utrapieniu jednak miejscowych i okolicznych mieszkańców, Michałowi Bębasowi nie pozwolił dziedzic się ożenić, wskutek czego Michałek rzucił gospodarstwo i wstąpił do klasztoru Reformatów w S. Nauczył on się tam wkrótce grać na organach bardzo pięknie, ale mimo to nie zarzucił skrzypiec i od czasu do czasu wygrywał na nich, kryjąc się z tem przed drugimi braciszkami, którzy uważali świeckie śpiewki za profa-

nacę murów klasztornych. Bratu Michałowi było bardzo z tego powodu przykro, to też skoro tylko zniesiono pańszczyznę, wrócił do wsi, sporządził sobie w komorze u brata Błażka, skromną izdebkę i żył w niej samotnie, śpiewając godzinki i wygrywając na przemian piosenki. Wkrótce przyzwyczał się do świeckiego życia i zaczął na nowo z Błażkiem chodzić po weselach i uczyć bratanka Grzesia na skrzypcach. I kiedy tak wieczorami uczył go na podwórzu, lub w swej izdebce — skradł się tam cichaczem mały Iwaś Sybura, zdradzający ogromny zapal do skrzypiec. Bębasowie wkrótce odkryli ten nietakt Iwasia i mieli się na ostrożności, ale on jakby im na złość zadziwiająco robił postępy jako samouk. Nieraz na weselu Michał eks-Reformat skrzypce swoje odłoży na chwilę, by do komory „domatora“ o wódkę zapukać — już Iwaś skrzypce bierze i gra, a ludzie tańczą z taką samą ochotą, jak kiedy gra Michał. To też ludzie zaczęły go brać na wesela. Wkrótce brata swego Stefana basować wyuczył i doszedł do takiej sławy, że Michał, jak ongiś Paweł Sybura rzucił skrzypce i oddał się całkowicie pustelniczemu życiu w swojej izdebce, a Grześ również czując, że nie wytrzyma konkurencji — wyuczył się krawiectwa wiejskiego. Ale Błażej, co „zęby zjadł po weselach“ nie mógł odżalować, swojej odstawki. Po pewnym czasie sprzedał krowę, poszedł piechotą do Lwowa, kupił sobie śliczne politurowane „basy“, a synowi Grzesiowi ładne skrzypce. Toż dopiero niespodzianka dla całej gromady! Nowe, błyszczące „basy“ huczały tak, że na drugą wieś było słyhać. I znowu ludzie poczęły się do Bębasów garnać, pomijając Iwana. Aż raz... Huczne było wesele, bo zenił się kmięć. Grzesio, parobek już tego gra na nowiutkich skrzypcach na podwórzu, ojciec mu basuje na nowych „basach“, aż Bóg wie, gdzie słyhać, ludzie tańczą, jak waryaci, aż tu namówieni i spici przez Syburę parobcy zwalili się „niechcący“ na muzykantów i z nowiutkich instrumentów pozostały trzaski.

Sybura tryumfował, chociaż sprawa oparła się o sąd wójtowski i sprawcy katastrofy wespół z jej inicjatorem musieli płacić trzy garnce wódki radnym z okazji „prawa“ i wyliczyć Bębasom 30 papierków odszkodowania. Błażej wydobył teraz wspomniane wyżej historyczne „basy“, syn kupił gdzieś w miasteczku poklejone stare skrzypce, no i hegemonia ich kwitła dalej ku niezadowoleniu Syburów.

Ale Iwan Sybura knuł w sercu zazdrość ku Bębasom, tembardziej, że w ich rodzie nowa zesła artystyczna gwiazda. Syn Grzecha, Filik, pasąc krowy wygrywał całymi dniami na skrzypczkach, czemu przysłuchiwał się nieraz stary Iwan, no, i wnosił, że Filik niebawem posiędzie więcej sławy, niż wszyscy przodkowie obu rodów. I nie mylił się. Filik miał tak doskonały słuch, że nutę skowronka umiał udawać, naśladował słowika, kosa, a co ważniejsza komponował coraz to inne „kawałki“. Ostatecznie ludzie nie dali mu spokoju i naciągnęli go na debiut, który nawiasem mówiąc, wypadł znakomicie. Teraz zazdrość Sybury nie miała granic. Co tylko nowego Filik wymyśli, zaraz to Syburą podchwyci, trochę przeinaczy i twierdzi że to jego własna kompozycja.

Wśród ludu nowości muzyczne, czyli „nuta“ zmienia się więcej może, niż moda pań w wielkich miastach. Nowo wynaleziona nuta idzie od wsi do wsi, jak te fale po stawie. Rozchodziły się więc z K. coraz to nowe piosnki aż wreszcie brakło konceptu. Tedy Filik jął się na sposób. Brany na wesela, nieraz aż na dziesiątą wieś podsłuchiwał tam melodye ludowe i wprowadzał je u siebie jako nowość. A szła pewnego razu od gór nieznaną dotąd piosenka:

Pała Kasia wołki pod górą,
 Uciekłże jej jeden za górę,
 — Ktoby mi nawrócił te byczki
 — Dałabym mu złote trzewiczki.
 Skąd ty jedziesz Jasiu?
 — Z Kierdela
 — A co ty mi wiesziesz
 z wesela?
 — Kołkowane buty,
 złoty pas,
 Nie będę ja z tobą
 Byczków pał.

Piosenka ta, przyniesiona przez Filika zainteresowała wszystkich ogromnie. Na weselach, chrzcinach, przy żniwie, pługu, i pod kądzielą — nikt nic innego nie śpiewał, jak tylko „Jasiu z Kierdela“:

Tymczasem Sybura puścił się na kompozycję i ułożył:

Ej nowy płużek, nowy,
 Dopiero zrobiony,
 Będzie wysypywał,
 Juhaju,
 Wysokie zagony,
 Szałaju.

Pomysł był tak szczęśliwy, że niebawem cała okolica zarzuciła wszystkie piosnki a śpiewała z ogromną przyjemnością „Szałaja“.

Ale sędziwi ludzie, wierni tradycjom, poczęli przebąkiwać, że ta nowa nuta pochodzi od dyabła i że gotowe być kiedyś nieszczęście. I sprawdziło się. Raz pod jesień na „prażnik“ t. j. odpust, popołudniu była w karczmie „muzyka“ (tańce) Sybura grał, a parobcy śpiewali „Szałaja“. Wtem nadciągnęła burza i razem z nią trąba powietrzna, która pozrywały wiele dachów, zabrała zboże na polach i nawet sztuki bydła. Tedy opinia publiczna zwróciła się z całą surowością przeciw wynalazcy dyabelskiej nuty. I było mu tak nieznośnie, że wydzierżawił grunt i poszedł z dziećmi w świat.

Po kilku latach wrócił. „O szałaju“ zapomniano, nato miał czterej synowie Syniury nauczyli się grać z nut od żydowskiej kapeli w jakimś miasteczku.

Najstarszy Paweł dmuchał w klarnet, dwaj inni dzierżyli pierwsze skrzypce, stary bębnił na bębenku, a najmłodszy 11-letni basował. Kapela to nielada! Bębasi skwitowali, a Syburowie słyną obecnie na całą okolicę. Najstarszy dość często jeździ do Lwowa, zwiedza szynki i podchwytuje melodye. Ubiegłej jesieni, bawiąc w K., słyszałem tę kapelę. Grała „rach, ciach ciach“ — mazury, walce najnowsze, a nawet ulubione lwowskie „Hamaj kiciu“.

Nie robi to jednak wielkiego wrażenia. Jeden z sędziwych chłopów mówił do mnie:

— Do niczego ta moda. Dużo hałasu, pisku, jakiegoś zawodzenie, et niema to, jak nasze starodawne „nuty“.

I miał słuszność. Niemieckie i czeskie piosnki nie trafiają do serca polskiego ludu. Ładne, bo ładne, ale nie swoje.

Bębasów ani śladu, jakiegokolwiek instrumentu. Nawet owe „historyczne basy“ poszły do pieca, bo zawadzały. A szkoda!

Syburowie grają dalej, jeno że ubyła głowa z ich kompletu: stary Iwan umarł, a jeden z synów, który wstąpił do wojskowej „bandy“, przyjeżdża na każde święta i przywozi muzyczne nowości.

Cywilizacya zatem w całej pełni!

Lwów.

Kazimierz Króliński.

Kometa r. 1812 w Muszynie.

W 10-tym tomie aktów hipotecznych miasta Muszyny (pow. Nowy Sącz) z r. 1813. znalazłam pod powyższym tytułem charakterystyczny dokument. Jest to nie tylko ciekawy przyczynek do poznania umysłowości i kultury mieszczańskiego świątka z owego czasu, ale i zajmujący szczególnie dla badań i poszukiwań geograficznych, a nawet astronomicznych.

Ówczesny burmistrz miasteczka, Józef Pawłowski, rozpoczynając nową księgę hipoteczną, właśnie w tym czasie, kiedy miasteczko nawiedziła klęska powodzi, korzysta z tego i umieszcza zaraz na pierwszej stronie księgi opis tego zjawiska.

Widocznie wstrząsnęła ona silnie mieszkańcami, a w nim samym obudziło żyłkę urodzonego kronikarza, który dla „nauki i przestrogi“ chce podać potomności to, na co patrzyły jego oczy. Opisuje więc nie tylko powódź, ale i świecąca wówczas kometa, którą uważa za herolda klęski.

Z sumiennością dokładnego obserwatora podaje nawet rysunek owej gwiazdy złowrogiej, która swoją różgą straszyla już od roku 1811 mieszczan muszyńskich, zapowiadając karę Bożą. Widocznie jednak ludzie nie umieli „zawczasu przebłagać majestatu Bożego“ i klęska przyszła, straszniejsza niż zapowiadały przecucia.

Oto dosłowna, z zachowaniem wyrażeń, kopia „dokumentu“ którego autentyk znajduje się w biurach gimnazjum nowosądeckiego. Sądząc z wyrażenia końcowego „w przytomności naszej“, pisał go widocznie pisarz gminny pod dyktatem burmistrza.

»Gwiazda, którą nazywają kometa. Ta zaczęła świecić, czyli wschodziła w miesiącu września r. 1811, (pisze o niej w książce czeskiej zwanej Lucydar, że ta